

Bochiński Tomasz

Parszywa okoliczność

Z „*Science fiction*” nr 18 – wrzesień 2002

Elizabediath Monck miał bardzo przyziemną pracę. Był grabarzem.

Co prawda, nie zwykłym kopaczem dołów, ale grabarzem z dziada pradziada, artystą z powołania, mistrzem ceremonii pogrzebowych. Wysoki, szczupły brunet o chudej twarzy ze smutkiem wyzierającym z ciemnych oczu i opadniętych kąćków warg, świetnie komponował się w roli żałobnika i pocieszyciela. Niestary, silny (praca na świeżym powietrzu ma swoje zalety), nosił w melancholijnej duszy jedno marzenie. Chciał mieć własny, cichy, rozświetlony słońcem cmentarzyk, na którym by leżeli sami przyzwoici ludzie.

Niestety, nie zanosilo się na rychłe spełnienie marzeń. Po raz kolejny zmuszony był zmienić miejsce pracy. Prawdę mówiąc, został wylany, a nawet uciekł, aby unieść głowę. Można by zapytać, dlaczego wszystkie te konfuzje spotykały mistrza w swym fachu? Otóż, Elizabediath Monck miał ogromną wadę, a raczej zespół wad z trudem tolerowanych w świecie, w którym przyszło mu żyć.

Był dobrym, wrażliwym człowiekiem o nieposzlakowanym honorze tak osobistym, jak i zawodowym. Na cmentarzach przez niego prowadzonych nie wchodziło w grę pochowanie kogoś żywcem. Choćby zakopywana była pyską, wredną i bogatą ciotką. Z tego powodu musiał opuścić cmentarz w Gladde. Monck nie pozwalał grabić grobów, pozbawiając tym rozrywki i dochodów wszelakie hieny cmentarne. Tak było w Sa Bains. Handel szczątkami ludzkimi uznał, za szczególnie obrzydliwy. Czym ściągnął na siebie niechęć alchemików, czarowników i wszelkiej maści sekciarzy próbujących rozdzierać zwłoki na relikwie. I tak stracił wspaniałą posadę w stolicy Gadrin. Innym razem pochował z pełnym rytuałem syna wdowy po powroźniku, i nie wziął od zrozpaczonej matki ani grosza pod pretekstem, że jest uboga. Cech grabarzy w E'Nocaus nie posiadał się z oburzenia...

A teraz Monck uciekał. Rozczarowany i wściekły szedł traktem - zajeżdżonego konia pozostawił o dobre stajanie - coraz bardziej ubłocony i zmęczony.

Już, już myślał, że znalazł swoje miejsce w życiu. Cmentarzyk niewielki, pochówków mało, sama szlachta. Wynagrodzenie znaczne. Jedno tylko przeszkadzało Mockowi - lubił, gdy „jego” zmarli spoczywali w spokoju. Tu jednak martwi prawie co noc urządzali brewerie. Wyruszali na krwawe łowy. Jak to wampiry. Co było zrobić - darował im wieczny spokój. Sposobem nieco prostackim, ale skutecznym. Kołek w serce i stosowne egzorcyzmy. Napracował się w dzień, a po zmierzchu musiał uciekać. Bo właściciel cmentarzyka też okazał się nieumarłym. Prawdziwą, istniejącą od kilkuset lat, bestią. Ściągał Moncka prawie bez wytchnienia, robiąc tylko krótkie przerwy, gdy słońce stało wysoko. Grabarz oceniał swoje szansę pół na pół. Bo choć stracił wierzchowca, to do wioski skąd wywodził się jego ród miał już blisko. A tam, w kamiennym kręgu przedwiecznych monolitów znajdzie ocalenie.

Doszedł wreszcie do oberży na rozstajach, rozsądek nakazywał odpoczynek. Powinien zjeść solidny posiłek, wysuszyć buty - zbliżające się południe gwarantowało bezpieczeństwo. Obszerne wnętrze świeciło pustkami, ledwie kilku podróżnych kiwało się smętnie przy stołach. Młody oberżysta zlustrował nieufnie strój Moncka. Czarny, z dużą ilością srebrnych haftów, stanowił ulubiony kostium służbowy grabarza. Tak chadzali ubrani szlachcice na uroczyste okazje wiek temu.

- Witaj... panie - rzekł niepewnie wystraszony karczmarz. Monck wyjął srebrnika i zarządził:

- Polewkę. Tylko żeby była gorąca. I prowadź do ognia, bo buty z kretelem przemoczyłem. Oberżysta zasmucony i zupełnie pozbawiony zawodowego entuzjazmu usadził go przy palenisku.

- Ruszaj się człowieku! - huknął „pańskim” głosem Monck. - Głodny jestem.

Właściciel oberży zebrał się w sobie i wywołał nawet rachityczny uśmiech na blade lico.

- Duchem, panie. Polewka za chwileczkę.

Zmęczony grabarz opadł na ławę, zzuł buty i postawił tuż przy ogniu. Z zadowoleniem patrzył, jak unosi się nad nimi para.

- Skóra popęka - usłyszał nad sobą mocny tenor. Uniósł głowę. Przed nim stał średniego wzrostu grubas

w zwykłym, podróżnym stroju. Całkowicie łysy, pozbawiony śladu zarostu na twarzy, miał spojrzenie nader przenikliwe. O wiele za bardzo jak na przypadkowego natręta. Nie zrażony milczeniem grabarza, nieznajomy skłoniwszy się, zapytał:

- Czy mam przyjemność z panem Eli...

- Monck, jestem - przerwał odruchowo, nie pozwalając, by nieznajomy zaplątał się w jego imieniu. Jednocześnie sięgnął do rękojeści rapiera stanowiącego dodatek do stroju. Broń nie była atrapą. Solidny kawał żelaza kilkakrotnie już ocalił mistrza ceremonii pogrzebowych.

Obcy rozpromienił się. Oczy jednak pozostały zimne.

- Mistrzu, szukam pana już dwie dekady... Pozwól, że się przedstawię: Oshar Hargo, majordom prześwietnego Drağa z Dragów.

- Siadajcie, panie... - dłoń grabarza ścisnęła mocniej rękojeść... - a w jakimże to celu tropisz moją skromną osobę?

Grubas usiadł z rozmachem i wykrzyknął:

- Jak to, Mistrzu?! Oczywiście pragnę, byś poprowadził ceremonię pogrzebową mego pana.

Monck puścił rapier. I odetchnął.

- Cóż, panie...

- Hargo - podpowiedział grubas.

- ...tedy proponujesz mi pan pracę. Kto wie, może w innych okolicznościach... ale teraz, niestety, mam pewne kłopoty i przez jakiś czas będę zajęty...

- Grubas sięgnął w zanadrze i rzucił na stół metalowy przedmiot. Monck aż podskoczył z wrażenia. Po dębowym blacie toczył się rodowy pierścień Astarha sa Grath, najstarszego z nieumarłych jakich dotąd poznał.

- Spotkałem wampira rankiem, przed karczmą - oznajmił Hargo - nie ukrywał, że ma pretensje do pana, Mistrzu. Zmyślną przygotował zasadzkę... Cóż, tyle z niego zostało. Wola mego pana musi być wypełniona.

Ogromna ulga ogarnęła Moncka. Nie musiał już uciekać. Ale wnet przebiegł go dreszcz: jakże potężny musiał być Hargo, skoro nie odniósłszy żadnych widocznych ran pokonał bestię.

- To zmienia sytuację - rzekł - racz przypomnieć mi godność twego Pana.

- Drago z Dragów - odparł autentycznie zdumiony Hargo. - Czyżbyś, Mistrzu, nie słyszał?

Monck zmarszczył czoło.

- Owszem, słyszałem, ale ten ród wygasł...

- To niestety prawda, mój pan był ostatni i dlatego trzeba wyprawić ceremonię pogrzebową, która by nie miała sobie równych.

Grabarz ugryzł się w język, bo o ile wiedział ród Drago wymarł sześćset lat temu.

- A wedle jakiego rytuału twój Pan życzył sobie być pochowany?

- Tylko pełny ceremoniał Ang-Hare można tu zastosować...

Elizabediath Monck, mistrz ceremonii pogrzebowych, głośno przełknął ślinę. Pełnego rytuału Ang-Hare nie przeprowadził - o ile wiedział - nikt. Nigdy.

Jakież to wyzwanie i jaka chwała!

Ale też - przemknęło grabarzowi przez myśl - może lepiej było spotkać powtórnie Astarha niż brnąć w tę aferę.

Lecz czy pozostawiono mu wybór?

- Zgoda - rzekł, czując, że będzie tego żałował. - Ale to spory koszt, a potrze...

- Mistrzu, koszty są nieistotne. A wszelkie potrzeby zostaną zaspokojone.

Monck drgnął. Takie słowa pragnął usłyszeć każdy mistrz ceremonii. Powinien być zadowolony... tylko skąd ta lodowata strużka potu ściekająca po plecach?

* * *

Mattheus Dalambert odsunął pergaminową kartę na długość ręki. Wzrok pogorszył mu się znacznie, niestety. Kareta trzęsła niemiłosiernie, trudno było czytać. Ale chciał jeszcze raz zerknąć na zakończenie listu - przyczyny dalekiej podróży.

...tedy zaklinam Cię, Panie, byś dawnych uraz poniechawszy, przybył jak najspieszniej. Albowiem jestem w wielkiej potrzebie.

Pozdrawiam Pana, przyjacielu Elizabediath Ssagaroth Monck

Skąd ten ścierwiec ponury zna tajne hasło naszej gildii?! - dumął Mattheus. Rzecz była tajemnicza, bo jeśli nawet ktoś podstępem czy siłą poznał hasło oznaczające pilne, wręcz nieodwołalne, wezwanie pomocy, to zwykle nie wiedział gdzie je wstawić. A tu - proszę, jest tam, gdzie być powinno.

Ja mu dam przyjaciela - Mattheus skrzywiony dotknął mocno zgarbionych pleców. Jeszcze pamiętał chwilę, gdy rozsierdzony Monck wygrzmocił go trzonkiem od łopaty. Co prawda, grabarz przyłapał Dalamberta na profanowaniu grobu pewnego niewinnego dziecięcia. Ale oczy miłej dzieciny potrzebne były do nader doniosłych doświadczeń. I żeby zaraz łopatą?! Mattheus zapienił się od narastającej wściekłości. Ale wnet ostygł. Bo co też musiało zajść, by człowiek nazywający go nie inaczej jak „garbata hieną cmentarną” wzywał pomocy tak rozpaczliwie?

Zamyślony wyjrzał za okno. Dzień dobiegał końca, ale i podróż także. Wjechali właśnie do niewielkiej dolinki. Przecinająca ją droga była znakomicie utrzymana, prędko więc dotarli do bramy zamykającej dolinę. Karetą zatoczyła koło i stanęła. Woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki.

- Dojechaliśmy, panie, dalej trzeba piechotą.

Zdumiony Mattheus wysiadł. Karoca odjechała, zostawiając alchemika samotnego przed bramą, której łuk wznosił się na dobre cztery sążnie.

- I co do stu par sparszywiałych kurew, długo mam czekać?

Mała furtka odemknęła się ze zgrzytem. Stanął w niej Elizabediath Monck.

- Nie turbuj się, hieno cmentarna, zaprowadzę cię do Dworu.

Mattheus zaklął plugawie, co zwykle przychodziło mu łatwo, i zatupał krótkimi nogami.

- Ty kopidole bezecny! Po coś mnie sprowadził! - zaryczał ochryłym basem.

Monck nieco oszołomiony falą dźwięku nie stracił przytomności umysłu. Nic nie powiedział, a tylko przeciągnął palcem po gardle.

I Mattheus Dalambert, wbrew pozorom nie będący głupcem, zamilkł.

- Teraz lepiej. Chodź za mną - rzekł Monck.

- Zaraz. Skąd znasz to, czego znać nie powinienes - wysyczał Mattheus, stając na palcach, by dosięgnąć ucha grabarza. Monck zawahał się, a potem kiwnął głową, uznając rację alchemika.

- Imię Eliany thir Harrane jest ci znane, jak sądzę - rzucił, otwierając szerzej furtkę i przepuszczając Mattheusa przodem. Alchemik, mijając próg, odparł:

- Masz mnie za przygłupka? Oczywiście, najślynniejsza czarownica z Palenk... znikła jakieś pięćset lat temu. Kapłanka Etiny.

- Spotkałem jej praprawnuczkę...

- Bzdura, jakaś dziewczka cię nabrała! - krzyknął Mattheus i zamilkł, bo jego i tak donośny głos odbił się rykiem w wydrążonym w skale tunelu.

I wtedy z półmroku wychynęła szczupła, wysoka postać. Tak było to niespodziewane, że Dalambert odskoczył, chwytając się za serce.

- Mistrzu Monck, czy zechciałby Pan mnie poznać... - rozbrzmiał cichy sopran.

- Ależ oczywiście. Panie Dalambert, z ogromną przyjemnością przedstawiam panu Katrinę thir Harrane.

- Niewiasta weszła w smugę światła padającą od uchylonej furtki. Brunetka wzrostem niemal dorównująca grabarzowi. Sądząc z śniadej, wyrazistej twarzy - młoda dziewczyna. Ale w wielkich ciemnych oczach czaiło się znużenie. Na wysokości ładnie zarysowanych piersi lewą ręką szybko wykonała skomplikowany gest.

Dalambert zdrętwiał. Zobaczył tajemny „podpis” maga. Bardzo stary, bardzo finezyjny. Odpowiedział swoim, prezentującym się wobec znaku Katriny jak wróbel przy sokole. I w milczeniu pochylił głowę.

- Pani Katrino, proszę poznaj Mattheusa Dalamberta, słynnego medikusa, znanego alchemika, światłego astrologa, zasłużonego członka wiadomej gildii...

Dalambert po każdej pochwalie prostował się, a na poczerwieniałej twarzy rósł uśmiech. Monck zaś kontynuował:

- ...hienę cmentarną, straszliwego opoja co poznasz po jego czerwonej fizys, a w młodości pierwszej wody rozpustnika i je... :

- Dość, panie Monck - wykrztusił Mattheus wciąż z niemądrym uśmieszkiem na ustach. - Gdzie... skąd... jakim sposobem... - zająknął się i tylko wskazał niezbyt elegancko na Katrinę.

Monck dał znak, by poszli za nim. - Opowiem, ale już we Dworze.

* * *

A było tak:

Monck przywieziony tą samą kareta, straszliwie zmęczony nie zwracał uwagi na wykuty w skale tunel ani na drogę prowadzącą przez następną dolinę do parterowego, rozsiadłego szeroko kompleksu budynków zwanych Dworem. Padł na łóżko i przespał noc i dzień. A wieczorem po przebudzeniu stwierdził, że Oshar Hargo zniknął. Służący przekazał grabarzowi słowa majordoma: „Mistrzu, Dwór Drago jest na Twoje usługi. Sam muszę dopilnować oczywistych przygotowań. Rozkazuji i wymagaj.”

Po solidnej wieczerzy Monck zadumał się głęboko. Był wyspany, nie miał ochoty czekać do rana. Wyszedł na długi, ciemny korytarz. Pod drzwiami stał znajomy sługa.

- Wiesz, gdzie spoczywa ciało prześwieczonego Drago?

- Tak - odparł głucho stary.

- Zaprowadź mnie tam.

Sługa pokręcił głową. - Nie. Nie mogę.

- Ale wskazać mi to miejsce możesz?

- Tak, panie.

- Prowadź.

Szli długim, centralnym korytarzem, potem skręcili w jeden z bocznych. Służący zdjął ze ściany pochodnię, wąski korytarzyk nie był oświetlony. Przebyli ledwie kilkanaście kroków. Na końcu znaleźli schody prowadzące mroczną spiralą w dół.

- To tutaj - rzekł niepotrzebnie służący.

Monck przejął pochodnię i począł zstępować po szerokich stopniach, nie myśląc już o pozostawionym w kompletnych ciemnościach słudze. Schody zdawały się nie mieć końca. Przestał je liczyć przy setnym stopniu. Wreszcie - zupełnie niespodziewanie - podróż dobiegła kresu. Grabarz podniósł pochodnię wysoko nad głowę. Jego oczom ukazała się wykuta w skale komnata o sklepionym na kształt kopuły stropie. Pusta, jeśli nie liczyć umieszczonego centralnie podwyższenia.

Zerknął jeszcze na ślepe ściany pozbawione jakichkolwiek ozdób i śmiało podszedł do katafalku. Na kamiennej płycie leżało ciało. Rudowłosego i rudobrodego mężczyzna ogromnego wzrostu. Strojny w szaty, które Monck widywał tylko na starożytnych miniaturach. Głowę miał opartą na tarczy. Szron pokrywał herb. Ale można było się domyśleć w nim znaku Dragów: Smoka pożerającego własny ogon. Grabarz dotknął skrzepłej twarzy zmarłego i z trudem pohamował okrzyk - tak była zimna. I dopiero teraz uświadomił sobie panujący w komnacie zamróz. Duszny i bezlitosny. Obszedł katafalk i grabiejącymi palcami zaczął obmacywać kamienną płytę od spodu. Szukał znaków tego, który złożył Draga na przedostatnie łożo. I znalazł. Ale... nie potrafił ich odczytać. Wstrząśnięty jeszcze raz przebiegł opuszkami palców drobne rysy i stopiwszy szron, zdołał odnaleźć parę znajomych symboli. „Nefer og Shaa ostrzega”... i tyle. Reszta była kompletnie niezrozumiała. Zimno nie pozwoliło na dłuższe medytacje. Nie oglądając się, ruszył ku schodom. Przeskakiwał po kilka stopni, jakby uciekał. I - być może było tak istotnie, bo ponura kostnica potrafiła wystraszyć człowieka najbardziej nawet odpornego na przeraźliwy majestat śmierci.

Ciężko dysząc, stanął na szczycie schodów. Z ulgą oddychał ciepłym powietrzem, ale nie mógł pozbyć się myśli, że porzucił Draga. Bo z zamrożonego ciała wcale nie emanował spokój. A raczej rozpaczliwe pragnienie, by tego spokoju nareszcie zaznać. Drago czekał. Podaruję ci wieczny odpoczynek tak szybko jak to będzie możliwe - przyrzekł w myślach Monck. I poszedł zapamiętaną drogą do swej komnaty. Służący gdzieś zniknął, widać poruszanie się po ciemku nie było dla niego niczym nowym. Doszedłszy do sypialni, Monck uznał, iż resztę nocy chętnie by spędził pracując. I nie był zdziwiony faktem, że drzwi naprzeciw prowadziły do biblioteki. Zostawił na korytarzu pochodnię, bo jak się okazało oświetlenie skarbnicy wiedzy stanowiły grube, woskowe świece. Bogactwo. Choć mocno zakurzone. Księgi wypełniały sporą komnatę, oprawne w skórę wprawiłyby w zachwyt każdego uczonego męża. Ale grabarz szukał map. I znalazł. Poranek przywitał co prawda bólem oczu, ale za to wiedział już jak trafić do nekropolii rodu Dragów. Zatarł ręce. Otworzywszy na oścież okiennice wyjrzał na świat. Świeże powietrze wprost odurzało. A bezchmurne niebo i soczysta zieleń traw i krzewów zapowiadały przyjemną wycieczkę...

* * *

Sześć miar wody później Monck kłął na czym świat stoi. Gdy przeglądał mapy, nie uwzględnił drobnej sprawy. Odległości podawane były w stajaniach gadrińskich o ponad połowę dłuższych od litterneńskich. Minęło południe, a on wciąż jeszcze nie dotarł do doliny cmentarnej. Musiał jednak przyznać, że widoki rozciągały się wokół cudowne. Góry coraz wyższe, wodospady spadające po stromych ścianach. Stada dzikiej zwierzyny. I żadnych ludzi. Kotlina, przez którą właśnie maszerował musiała być kiedyś uprawna. Pozostały ślady kanałów irygacyjnych, zarośnięte kopczyki, niegdyś widocznie budynki gospodarcze. Długie dziesięciolecia musiały minąć od kiedy zostały porzucone. Wszystko to pasowało do podejrzeń

jakie żywił... Idąc wśród bujnych traw, spoglądał ku szczytom i grzbietom górskim. Udało mu się wypatrzeć dość gęsto rozstawione wieże. Z braku murów obronnych we Dworze to one stanowiły zapory dla ewentualnych najeźdźców. Ale skruszałe blanki sugerowały, że strażnice nie są obsadzone.

Wreszcie dotarł do tunelu wiodącego do Doliny Nekropolii. Furtka uchylona energicznie nie skrzypnęła - widać niedawno przesmarowano zawiasy. Znalazł też zapas pochodni. Wziął kilka, tunel winien liczyć co najmniej stajanie. Powietrze w trzewiach góry było suche, chłodne i... świeże. Mistrzostwo ludzi, którzy przed wiekami stworzyli system tuneli, zdumiewało.

Gdy doszedł do końca, pomyślał, że dobrze będzie odpocząć i zjeść spóźnione śniadanie. Otworzywszy furtkę, oniemiał. I zapomniał o takich drobiazgach jak jedzenie. Dolina wyglądała tak, jakby ogromny topór rozrąbał góry. Strome, wysokie ściany pełne osuwisk i piargów. Dnem pędziła spieniona rzeka. Nie rośło tu ani jedno drzewo. A wszystko było czarne.

Wylot tunelu wykuto wysoko, tuż pod granią i Monck zaczął powoli schodzić. Wprawne oko pozwoliło mu stwierdzić, że zbocza doliny pokrywają dziesiątki a może i setki grobowców. Po tej stronie rzeki, bardziej stromej, widział wejścia do komór grobowych. Tak chowano przed tysiącem lat; wykorzystywano naturalne jaskinie. Po drugiej stronie stały kopulaste grobowce umieszczone na niewielkich tarasach.

Rzekę spinał most. Kamienny, solidny. Przetrwiał zapewne setki powodzi i nie znać było na nim zniszczeń. Przynajmniej z daleka.

Schodzenie trwało długo i gdy wreszcie stanął na moście zrozumiał, jak niezwykłym miejscem była ta dolina. Znakomicie pasowała na miejsce pochówku, o ile oczywiście ktoś chciał, by zmarłych odwiedzano możliwie rzadko.

Widok z dna tej ogromnej rozpadliny przytłaczał. Ściany zamykały patrzącego niczym czarne szczęki. Widoczny był tylko wąski pasek nieba; słońce poza południowymi godzinami najdłuższych dni nie miało tu przystępu. Cień, zimno i ryk rzeki pędzącej w rozbryzgach piany po czarnych głazach stwarzały niesamowitą aurę.

Monck zadrżał. Miejsce przerażało, ale jakże wspaniałą ceremonię można było zaaranżować w takiej oprawie. Jakiż efekt dramatyczny!

Poszedł ku najniższemu i największemu z tarasów. Stała na nim czworokątna budowla. Wysoka, piętrowa. Zbudowana - jakże by inaczej - z czarnego kamienia. Żaden inny grobowiec nie nadawał się dla ostatniego z Dragów. Monck znalazł wejście, zapalił pochodnię i śmiało zagłębił się w mrok. Parter budowli był niski, pozbawiony jakichkolwiek sprzętów czy ozdób. Ściany poznały ślady powodzi, najwyższy sięgał prawie sufitu. Na środku szerokie schody spiralą pięły się ku piętru. Wkroczył na nie, czując sędziwy wiek budowli, długo już czekała na tego, dla którego miała być ostatnim domem. Piętro - jak się spodziewał - stanowiło niemal replikę komnaty jaką widział pod Dworem. Tyle, że w kopule ział szereg wąskich prześwitów, co odbierało nieco ponurości wnętrzu. Pod ścianą stała duża, kamienna skrzynia - w niej miał spocząć Drago. Podeszedł bliżej, by obejrzeć zdobiącą wieko rzeźbę, gdy ta nagle usiadła, a potem zeskoczyła na podłogę.

Pochodnia wypadła grabarzowi z ręki. Nim jednak opanowała go panika, „posąg” rzekł miękkiem niewieścim głosem:

- Jak sądzę, mistrz Eli...

Odruch wziętą górę nad zaskoczeniem, przerwał nieznajomej:

- Monck, jestem.

Niewiasta stanęła w wąskiej smudze światła. Wysoka, szczupła o ciemnych, mocno skręconych włosach. Promień światła odbił się w jej oczach i Elizabediathowi zaschło w ustach. Była piękna.

Mistrzu... jestem Katrina thir Harrane, czekam na ciebie już wiele dni...

* * *

... - zakończył Monck.

Mattheus Dalambert łyknął wina, cmoknął z ukontentowania - almaden pochodził z dobrego rocznika, smak miał aksamitny o lekkiej owocowej nucie.

- Grobowiec, to nieco dziwne miejsce na drzemki - rzucił od niechcienia.

- Zapewnia jednak maksimum możliwej dyskrecji przy spotkaniu - odparła Katrina. - Można też spokojnie myśleć, nie narażając się na nagabywanie pana... Hargo... - Miano majordoma wymówiła z wyraźnym obrzydzeniem.

- Powiedzmy. - Mattheus nie był przekonany. - Pani, co jednak sprawiło, że za pomocą tego... pana Moncka przesłałaś mi wezwanie?

- Szczerze mówiąc, chciałam prosić kogoś innego... Ale mistrz Monck serdecznie polecał słynnego Mattheusa Dalamberta... - Błysnęła zębami w uśmiechu.

- Hm... hm.. - odchrząknął Mattheus, nie wiedząc, czy właśnie usłyszał komplement, czy też z wdziękiem zakpiono z niego. - Pani Katrino, pytam dlaczego w ogóle wysłano tak naglące zaproszenie...

Niewiasta spoważniała.

- Porwano mnie. I uwięziono.

- Przecież...

- Mogę poruszać się swobodnie w dobrach Dragów. Jednak nie jestem w stanie wyjść poza doliny... i co jeszcze bardziej zastanawiające nie potrafię korzystać z mocy. Żaden czar nie skutkuje!

- O nęcza obesrana! - mruknął Dalambert, a potem wykonał drobny gest i okiennice biblioteki zamknęły się z trzaskiem. Odetchnął z ulgą. Katrino i Monck spojrzeli po sobie także uspokojeni.

- Wygląda na to, że tylko pani jest objęta niemocą... Ciągle jeszcze nie bardzo rozumiem... czy Hargo groził...

- Nie!

Mattheus wzruszył ramionami. Monck spojrział na Katrinę, a potem odwracając wzrok, powiedział:

- Rzecz w tym, że pani Katrino jest dziewicą...

- Współczuję... to jest gratuluję - pospiesznie poprawił się Dalambert, - ale co ma... - urwał, marszcząc czoło. - Monck! Chcesz powiedzieć, że do spełnienia rytuału Ang-Hare potrzebna jest ofiara z dziewicy?!

Grabarz pokręcił głową:

- To nie takie proste... Ja... nie wiem.

- Jakże! Monck, kurwa, a kto ma wiedzieć?

Mistrz ceremonii z lekka się zdenerwował.

- Nikt nie zna rytuału Angh-Hare w całości...

Mattheus milczał z niemądrą miną. Potem zaś rzekł: - Wynajęto cię do przeprowadzenia ceremonii o nieznanym rytuale? Nie rób ze mnie durnia, kopidole.

- Przed tobą leży księga traktująca o ceremonii Ang-Hare. Otwórz ją - polecił Monck.

Alchemik sięgnął po inkunabuł i zerknął na pierwszą stronę. Potem przewertował jeszcze kilka.

- No i co? To starogadriński. „Wykaz rzeczy i ludzi potrzebnych do misterium”

- Pomiń wstęp. Zajrzyj do pierwszego rozdziału.

Dalambert przerzucił kilka kart i zaklął pod nosem: - Nie przy mnie pisane... jakieś znaczki bez sensu!

Monck spojrział na Katrinę, kiwała głową wyraźnie zdziwiona.

- Zaczynam wierzyć, żeś naprawdę obdarzony mocą. Wiedz, że nikt nie jest w stanie odczytać czegoś więcej jak wstęp. Co więcej, nawet pani Katrino widzi tylko puste strony...

- Jak więc...

- Gdy zostaną zgromadzone wszystkie elementy potrzebne do ceremoniału, wtedy ja, i tylko ja, zdołam odczytać ciąg dalszy.

- He! He! - księga cię poznaje? DUBY SMALONE!

- Właśnie tak, od chwili, gdy wpisałem do niej swoje imię. Wyobraź sobie - co za banał! - krwią. I podejrzewam...

- No?! - Dalambert pochylony ku Monckowi chuchał ulubionym przez siebie czosnkiem.

Grabarz wzdrygnął się i odsunął szybko.

- Podejrzewam, że nie będę mógł przekazać nikomu uzyskanej wiedzy.

Dalambert łyknął wino i pokiwał głową. Milczał chwilę, by wreszcie rzec:

- Z rytuałem musisz poradzić sobie sam. Ale w kwestii pani Katriny... Można by zaradzić niebezpieczeństwu.

- Jak?

- Otóż, dziewicą się jest i dziewicą można przestać być...

Elizabetha Monck zakrztusił się śliną, ale Katrino pozostała niewzruszona. Na śniadanie policzki nie wypląnęły najmniejszy nawet rumieniec.

- Ciekawy pomysł - rzekła spokojnie.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Monck. Zimno i sucho.

- Dopyj wino, Dalambert. Idziemy zobaczyć Draga.

Alchemik nie protestował. Jednym łykiem pochłonął niemal pełnym pucharek. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale grabarz niemal wypchnął go na korytarz.

- Słuchaj, Dalambert. Wezwałem cię, choć pani Katrina zna lepszych niż ty władców mocy. Ale będziesz potrzebny, bo niezbędny przy rytuale jest alchemik. A moje prywatne wątpliwości rozstrzygniesz jako medikus i astrolog. I to jest twoje zadanie.

- Mattheus spojrzął nań spod oka.

- Ho, ho - powiedział - ho, ho - powtórzył.

- O co ci chodzi? - Monck przystanął.

- Mistrzu - słówko zabrzmiało niemal obelżywie - nie wiedziałem, że aż tak... Monck, ty durniu, czy powiedziałem, że to ja będę „ratował” w łożnicy Katrinę? Skoro taką masz na nią ochotę...

Monck ciężko westchnął.

- Zamknij tę plugawą paszczkę, hieno. Tobie w głowie nic tylko chłanie, chędożenie i ohydne eksperymenty .

- Ten co nie pije i nie używa - parsknął alchemik, ale zamilkł pod spojrzeniem rozgniewanego grabarza.

Miejsce tymczasowego spoczynku Gizmy nie zmieniło się ani trochę. Ale umocowali kilka pochodni, a alchemik dzierżył w ręku świecę z biblioteki.

- Zimno tu, pewnie gdzieś za ścianą jest lodownia mówił Dalambert, podchodząc do katafalku. Obszedł go dookoła. Dotknął dłoni i twarzy zmarłego, a potem zapukał w martwą pierś. - Trup - orzekł. I znowu zapukał, budząc tym nieprzyjemny dudniący odgłos.

- Nie masz szacunku dla zmarłych, ty hieno - rzekł zde gustowany Monck.

- Mattheus Dalambert popatrzył spod nastrzępionych brwi.

- To tylko puste naczynie. A szacunku i... cierpliwości ledwie dla żywych mi starcza. Po coś mnie przyprowadził do tej zimnicy. Nieboszczyk bez żadnych wątpliwości...

- Kpisz czy głupka udajesz? Odpowiedz mi jak dawno umarł.

- Spróbuję, ale... będzie to duża próba dla twej, dziwnej jak na grabarza, wrażliwości - rzekł Dalambert i wydobył z sakiewki pudełeczko. Otworzył je, w przyćmionym świetle błysnął zestaw noży.

Powiedział prawdę. Bo dla Moncka ciało nie było futerałem a świątynią. Nawet opuszczonej nie należy przecież profanować... A w tym przypadku miał poważne wątpliwości, czy duch porzucił swe siedlisko.

Wreszcie medikus skończył. Odłożył narzędzia do pudełka i rzucił:

- Idźmy stąd. Zaraz mi gacie do dupy przymarzną.

Przez całą drogę do biblioteki milczeli, obydwaj jednak spragnieni ciszy. Gdy weszli, Katrina odłożyła ogryzaną właśnie nogę kurczęcia i uniosła pytająco brwi.

- O! Żarełko. - Ucieszył się Dalambert i rękoma, którymi dopiero co badał trupa, począł rozrywać mięsiwo. Potem zaś z gulgotem wlał pełen kielich w gardziel. I beknął.

Monck spiesznie pochwycił czarękę, napełnił ją po brzegi. Pijąc, pochwycił ironiczny wzrok alchemika. Ten obrzydliwiec z lubością udawał prostaka. A dlaczego tak czynił, pozostawało jego słodką tajemnicą. Przechylił jeszcze raz kielich i nie pytany rzekł:

- Drago leży już bardzo długo. Ale to wiecie beze mnie. W tej temperaturze zewłok mógłby przetrwać miesiące..., mam jednak podejrzenie graniczące z pewnością, że tam, gdzie do niedawna przebywał, było jeszcze zimniej.

- O, do licha!

- Śladów jest zbyt mało lub moja wiedza nie wystarcza... Lecz sądzę, na przykład po stroju, który niewątpliwie pochodzi z epoki i jak oceniam zmarły miał go na sobie w chwili śmierci, że szlachetny Drago czeka na pochówek kilkaset lat, a dokładnie: co najmniej pół tysiąclecia. Monck pokiwał głową. Niczego innego się nie spodziewał, no ale teraz miał pewność. Dla porządku jednak zapytał:

- A skąd te wnioski?

- Mattheus błysnął czerwonym, złośliwym okiem znad kielicha.

- Gdyś wyliczał me umiejętności, zapomniałeś powiedzieć, że uzyskałem bakalaureat na gadińskiej uczelni z prawa i dziejów Ocalonej Krainy. Takie stroje widziałem niejednokrotnie. Gdybym miał czas, mógłbym określić zejszcie nieboszczyka z dokładnością do lat dziesięciu...

- Ja noszę szatę z zeszłego wieku. Gdybym padł teraz trupem, rzekłbyś, iżem rodził się sto lat temu? - Wino wprawiło Moncka w nieco kłótlivy nastrój.

- No nie... alboś się upił, albo twoja głupota rośnie... Mówię przecież, że Drago umarł w tym stroju. Umarł na zatrucie żelazem.

- Co?!

- A tak, zatrulo go jakieś pięć cali dobrego żelaza białego prosto w krzyże. Kaftan i koszula przedziurawione i mocno krwią powalane. Poza tym... Przepraszam, pani Katrino - rzekł z nagła

zakłopotany - rzeczony Drago w chwili śmierci stracił kontrolę nad żołądkiem... mówiąc prosto, sfajdał się w pludry.

- Morderstwo? - wyszeptała czarodziejka.

- Raczej tak. Chyba, że Drago przez nieuwagę wbił sobie nóż w plecy - rzucił zgryźliwie Dalambert.

- Tak więc Drago jest martwy od wielu lat. Ciekawe dlaczego teraz właśnie majordom Hargo wpadł na pomysł pochowania go...

- Tak, ciekawe - przytwierdził Dalambert, przysuwając bliżej dzban z winem.

- Stwierdzić dlaczego, to zadanie dla astrologa. Musisz zbadać układy gwiazd, wróżby... nie będę wreszcie uczył cię twojego fachu. Słyszysz, Dalambert?

Pytanie było uzasadnione, bo Mattheus gasł w oczach. Wino i tym razem wygrało.

- Taak - zabełkotał - a wiesz ty, kopidole, dlaczego w ogóle przyjechał? Prawda, wezwanie... ale także nuda, czuję przez skórę, że zabawy będzie moc... i jeszcze jedno. Gdyś mnie obił kołkiem, nie poszedłeś na skargę do bajlifa... a stu innych tak by uczyniło... - głowa Mattheusa Dalamberta opadła na dębowy blat stołu.

Monck popatrzył z troską na astrologa.

- Tak umierają legendy... - mruknął.

- Co takiego?

- Dalamberta otaczała sława pierwszorzędnego pijaka. Chciałem więc sposobem prymitywnym, ale zazwyczaj skutecznym, wydobyć z Hargo parę szczegółów... Niestety skutek mógłby być dokładnie odwrotny.

Mattheus zaczął chrapać. Katarina i Monck wstali.

- Czas na spoczynek - powiedzieli razem i uśmiechnęli się.

Noc minęła spokojnie. Ranek zaś wybuchnął zamieszaniem i rejwachem tak wielkim, że nawet skacowany Dalambert wyszedł przed Dwór zobaczyć przyczynę hałasów. Od bramy łączącej posiadłość ze światem ciągnął pieszo, konno i koleśnie tłum. Nieliczna służba Dragów stała w pogotowiu. Natychmiast prowadzili przybyłych do przeznaczonych im komnat. A kogo to nie było w napływających dziesiątkach, a potem setkach, przybyszów. Szlachcice z pocztami, rzemieślnicy w zwartych grupach pod cechowymi chorągwiami. Dziewki - zapewne do kuchennych posług. Mrowie strojnych w najlepsze szaty mieszczan... I spora grupa krzykliwie odzianych muzykantów, tnących od ucha piosneczki zgoła do pogrzebowych uroczystości nie pasujące. Jeden zwłaszcza grubas o czerwonej twarzy wykwintnie przybrany w fiolet i róż wybijał się ponad wrzaskliwe grono, rycząc:

*Bocian wziął żabę za babę,
bo miał oczy bardzo słabe hu, ha!
I uciecha z tego była
-Żaba jaja mu złożyła Hu, ha!*

Monck, szukając w tłumie majordoma, trącił silnie w ramię wesołka. A gdy ten zamilkł, przygryzłszy sobie krzyń język, powiedział mu przejmująco srogim szeptem do ucha:

- To ceremonia pogrzebowa, błźnie! Za następnym razem dostaniesz sto batów i ani miedziaka, hu ha!

Odszedł i pozostawił oniemiałego muzykanta. Inni szarpi struny i dmuchło trąbcy także ucichli, znać słuch, w przeciwieństwie do głosów mieli zacy.

- O, Mistrz! - Ucieszył się jadący konno majordom Hargo.

- Potrzebne mi będą jeszcze te rzeczy - rzekł zamiast powitania Monck, podając tysemu zarządcy pergaminową kartę.

- Sporo tego... - mruknął Hargo, - O! Siarka? Węgiel? Saletra? A po cóż ... wybac, Mistrzu -zreflektował się majordom - dziś jeszcze wyślę po odnośne potrzeby wóz. A jak tam ceremonia? - dodał lekkim tonem.

Elizabeth Monck spojrział mu w oczy. Zimne, twarde, ale także nieco zakłopotane.

- Spodziewam się dzisiaj przeczytać pierwszy rozdział. Szacowny Drago dłużej nad tydzień czekać już nie będzie...

Z twarzy Oshara Hargo wyjrzało coś tak straszliwego, że grabarz cofnął się o krok. Takiego natężenia nienawiści i zadowolenia dotąd nie widział u istoty ludzkiej. Jeszcze jeden temat dla Dalamberta - pomyślał, patrząc za odjeżdżającym majordomem. Potem zaś zlustrował starożytne domostwo w oblężeniu pstrokato odzianych żałobników i ruszył, by zapanować nad tym chaosem...

Dzień mijał błyskawicznie. Monck przebiegał Dwór, wydając dyspozycje rzemieślnikom i nowo przybytej służbie. Unikał jak mógł szlachty, durnych jej zachcianek i pytań, omijał szerokim łukiem

mieszczan pragnących się z nim na gwałt poznać. Sprawdził kuchnię, bo choć należało to raczej do majordoma, lubił wiedzieć o wszystkim w czas ceremonii. Paleniska gorzały, służba pracowała nieco ślamazarnie, jednak ogólnie panował ład.

W południe zajrzał do biblioteki, Dalambert siedział, zakopany w księgach. Miny nie miał zbyt radosnej.

- Nic, nic nie znajduję. Żadnych nadciągających komet, gwiazdy błędzące nie ustawiają się w złowieszcze figury... Tej nocy będę musiał spojrzeć w niebo... A jeszcze mam przygotować dla ciebie te tynktury. Czasu mało!

- Liczę na ciebie, Mattheus - rzekł poważnie Monck. - Zostaw na razie księgi, zajmij się alchemią.

- Zostawić księgi... wiesz, Monck, jakie Dragowie zgromadzili skarby? Spora część tytułów uznawana jest za mityczne, inne przetrwały w pojedynczych egzemplarzach. Gdyby sprzedać tylko malutką część... A wiedza? Wiedza w nich zawarta, Monck ...

- Mattheus!

- Dobra, dobra... Przeczytałeś pierwszy rozdział? - Dalambert pociągnął tyk mleka skrzywiony okropnie.

- Tak. I nie mogę nic powiedzieć. Do licha, próbowałem czytać głośno... i tylko ruszałem wargami.

- Mocna rzecz... ale, ale - astrolog rzucił za odchodzącym grabarzem - uważaj na Katrinę, czarownica coś kręci. Te jej wylegiwanie się w grobowcach...

Elizabiedith Monck machnął ręką i pobiegł na spotkanie z mistrzami cechowymi. Nim upłynęły trzy miary wody spod domostwa ruszyły wozy z materiałami i ludźmi. Część z nich do sąsiedniej doliny, a kilka do nekropolii. Z tymi zabrał się Monck. Wskazał rzemieślnikom, gdzie mają pracować. Roboty miały ruszyć przed wieczorem, nocleg zapewniały namioty rozstawione w środkowej, niegdyś uprawnej, dolinie.

Mistrz ceremonii wrócił jednak do Dworu. Zmęczony dopadł ponownie alchemika, tym razem w specjalnie przerobionej na potrzeby Dalamberta komnacie. Bulgotało, śmierdziało i dymiło tu z retort cebrzyków i kotłów. Alchemik miotał się pośród cennych szklanych kolb i przedziwnych spiral z precyzją, znanostwem i, rzec by można, gracją.

- Co tam? - Odwrócił czarną od pyłu twarz i z okrzykiem zgrozy odebrał Monckowi pękata zlewkę.

- Żałujesz mi gorzałki? - zdziwił się grabarz.

- To woda królewska, popaliłbyś sobie ciżmy przy sikaniu - odrzekł Dalambert, odstawiając ostrożnie naczynie.

Monck wstrząsnął się i odsunął niemal pod drzwi.

- Mam kłopot - zaczął.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi - mruknął pod siwym wąsem alchemik. - Mów, mów - rzucił i zaczął mieszać w ogromnej butli mętny, biały płyn.

- Nie mogę pochować Gizmy w takim stanie. Skrwawionego, pokrytego śmiertelnym potem i ekskrementami. To... nie uchodzi.

- Acha. No tak. Dam ci specjalne okłady. Rozgrzeją zwłoki, a przynajmniej pozwolą oddzielić ubranie i zanieczyszczenia. Ale... ablucje trzeba przeprowadzić szybko. Bo rozkład może być błyskawiczny. Potem zaś, gdy już będziesz wiózł nieboszczyka musi on leżeć w lodzie. Inaczej dowiesz... no zresztą sam rozumiesz. Kogo wyznaczysz do tej roboty?

- Siebie - odrzekł Monck. - Komu innemu mógłbym zlecić takie zadanie?

- Poślę po ciebie jak tylko przygotuję okłady - rzekł Mattheus. A gdy Monck wyszedł powiedział na głos:

- Biedny skurwysynu. Jako medikus zaleciłbym zimne kąpiele i puszczenie krwi. Typowe zabiegi na humory przerostu sumienia...

- Słyszałem, hieno! - przerwał te dywagacje ryk zza drzwi i Dalambert utracił jedną z cennych szklanych butli. Szczęściem, pustą.

We troje spotkali się dopiero późnym wieczorem. Ostatni przyszedł Monck. Włosy miał mokre...

- O, grabarz! Kogo myślisz, siebie czy szanownego nieboszczyka - rzucił jowialnie alchemik, popijając wprost z dzbana.

- Najpierw jego a potem siebie - odparł Monck, z ulgą przyjmując pełny puchar od Katriny. - Tobie też by się ablucja przydała - dodał, patrząc na umorusaną twarz Dalamberta.

- O, nie! Poczekam z tym, aż będziesz mi wyświadczał ostatnią posługę.

- Posługę? Pod płótnem szejniesz, albo na stryczku. Takim rytuał nie przynależy...

- Chodziłam dziś cały dzień ślad w ślad za panem - przerwała przekomarzanka Katrina nadspodziewanie poważnym głosem.

- Tak?

- Rozmawiałam z tymi, z którymi pan, mistrzu, rozmawiał. A także z wieloma z tych, których pan zręcznie uniknął. I stwierdziłam jedno: rodziny wszystkich od posługaczek aż do szlachciców wysokiego rodu miały zobowiązania wobec Dragów. Pieniężne, honorowe, polityczne... najróżniejsze. I Hargo przypomniał im to w sposób raczej mało delikatny.

Chwilę trawili w milczeniu tę wieść. Potem Monck podrapał się w policzek i powiedział:

- Właśnie, Hargo... Sprawdziłem. Rodzina Hargów prowadzi Dwór od zawsze. Zdaje się, że byli sługami Dragów jeszcze podczas przeprawy przez Złe Ziemie. A obecny Oshar Hargo urodził się pięćdziesiąt trzy lata temu. Mają tu taką kronikę rodową... I uprzedzę pytanie: karta z opisem szanownego nieboszczyka została usunięta.

Dalambert siorbnął wina, zakąsił cudacznym spleśniałym serem sprowadzonym z Mattan i zapytał:

- A pani, Katrino? Czy pani ród miał zobowiązania wobec Dragów?

Potrząsnęła lekko głową. Lecz minę miała niezbyt pewną.

- Uczciwa odpowiedź brzmi: nie wiem. Ale jeżeli byłyby to zobowiązania z czasów mej wielkiej przodkini Eliany... kto wie.

- Nie sądzę - powiedział Monck. Z tego, co mówi pani Katrina, Hargo miał na każdego z żałobników jakiegoś hm... haka. Weksle, tajne umowy, kto wie co jeszcze. Nie porywaliby pani Katriny, gdyby mieli coś takiego.

Dalambert pokiwał głową. Dopił wino i wstał.

- Na mnie czas. Przyjrzę się niebu. Może znajdę jakiś powód tego nagłego pogrzebu.

- Zaraz po jego odejściu podniósł się i Monck. -Trzeba mi jeszcze parę rzeczy we Dworze dopatrzeć. Dobrej nocy, pani Katrino.

Odszedł obdarzony jej uśmiechem, trochę zamyślonym a trochę czułym.

Widzisz to, czego nie ma - pomyślał, kierując się do wielkiej sali bawialnej, skąd dochodziły dźwięki muzyki. Z trudem nagiął umysł do rozważań o rytuale. Jak dotąd nie znalazł w księdze niczego naprawdę niespodziewanego. Co prawda, niektóre inkantacje brzmiały dziwacznie, ale... nie takich dziwactw był świadkiem. Z lękiem myślał, co znajdzie w następnych rozdziałach. Bo honor nakazywał dokończyć dzieła, którego się podjął, lecz czy zdoła poświęcić Katrinę, gdy zajdzie taka konieczność? I czy będzie miał jeszcze wtedy na tyle wolną wolę, by choć pomyśleć o sprzeciwie w tej sprawie? Wiedział, że od pewnego momentu rytuał Ang-Hare sam będzie się wypełniał. A chwila ta - bez powrotu - nie była mu znana.

Stanął w drzwiach sali wypełnionej ludźmi. Światła było mało, ledwie kilka kaganków i czerwony płomień na kominku. Muzyka rozbrzmiewała z cicha, a choć bynajmniej nie na żałobną nutę, nie były to też prostackie przyśpiewki. Nie zamierzał przeszkadzać słuchającym. Usiadł w pełnym cieniu przy drzwiach. I stwierdził, że u kominka siedzi z lutnią w ręku ten sam fantazyjnie odziany muzykant, którego musiał skarcić rano. Śpiewał niezłym głosem po mattańsku, w języku mało Monckowi znanym. Dlatego też z trudem tłumaczył szeptem słowa, gubiąc rytm, a czasem i sens.

*Cóż dać ci chciałbym, Moja Piękna Pani?
Księżycową drogę śród morskich otchłani.
I żarem brzasku płonące niebiosy,
i jeszcze - maleńką tęczę w kropli rosy,
O Piękna Pani... Cóż dać ci mogę, Moja Piękna Pani?
Moją bezsenność? Godziny nocnych marzeń,
I spojrzenia w ciemność .*

Ciepła, miękka dłoń spoczęła na jego karku. A gorący oddech owionął mu policzek. Drgnął zaskoczony. Ale znany głos rozwiął wątpliwości:

- Głośniej tłumacz, proszę.

Część pieśni umknęła, lecz jeszcze zdołał pochwycić ostatnią zwrotkę:

*Cóż wezmę w zamian, Moja Piękna Pani?
Zapachów cudownych najtańsze bogactwo
Światło i cienie między róży płatkami
I serce czyste, z łaską nad łaskami.*

O Piękna Pani...

Oklaski rozbrzmiały i zgasły. Katrina szepnęła do ucha Moncka:



- Chodź...

I poszedł za nią jak zaczarowany. Dopiero w jej komnacie, gdy stanęła przed nim naga, opamiętał się.

- To nie uchodzi...

- Czy ja mam ci się oświadczać? A może ubliża ci, że mogę tobie zawdzięczać życie? Prawda, chcę żyć. Ale mam też dość bycia nietkniętą kapłanką słonecznej Etiny... I wiesz przecież co poczułam tam, w

pustym grobowcu. Nie wierzę, że ty tego nie odczujesz, Eli... – położyła dłoń na ustach Moncka nim zdołał przerwać. - Będę mówiła do ciebie Eli...

Elizabediath Monck stał trochę oszołomiony a trochę zachwycony, żarem jaki brzmiał w głosie Katriny. Wszystkie skrupuły w nim stopniały. Bo też mówiła prawdę. Pragnął jej od pierwszego spotkania, od pierwszego spojrzenia w miodowo brązowe oczy. Przygarnął ją mocno. Łoże stało niedaleko.

A miarę wody później, leżał w skłębionej pościeli wściekły i załamany. Nigdy nic podobnego mu się nie zdarzyło. Szczęściem, Katrina nie wyśmiała go, a nawet próbowała pocieszać:

- To z pewnością czary. Zbyt łatwo chcieliśmy obejść przekleństwo. Wymyślisz inny sposób, by mnie ocalić..

Monck nie był taki pewny. Ale słowa Katriny i dotyk śniadego gibkiego ciała sprawiły, że pomyślał: Nie mogę sprawić, by straciła wianek, ale nie znaczy to, iż nie potrafię dać jej rozkoszy.

I miał rację.

O świcie Monck przemknął się do swojej komnaty. Sądził, że dyskretnie. Ale, oczywiście, wyciągnięty na łożu czekał Dalambert.

- Jak poszło? - zagadnął.

Grabarz miał wielką ochotę dać grubianinowi parę razy po pysku, ale machnął nań ręką. Mattheus Dalambert był niereformowalny.

- O! - wykrzyknął alchemik na widok miny Moncka - aż tak źle? Tedy ja spróbuję... trzeba ratować Katrinę.

Zastanowiwszy się, Elizabediath nie wybił wszystkich zębów ordynusowi. Choć przez chwilę miał taki zamiar. Chciał Katriny żywej. Za wszelką cenę. Prawie za wszelką.

- Dość tego - rzekł. - Co wiesz?

Entuzjazm alchemika zgasł. Pokręcił głową.

- Nic. Niebo nic nie podpowiada. W księgach są jakieś aluzje. Ale ich nie rozumiem. Spróbuję pójść śladem Katriny i porozmawiać z zaproszonymi żałobnikami...

- Ostrożnie! Hargo nie wie, co czynię zgodnie z literą księgi, a co jest moim widzimisję. Ale takie podpytywanie, musi zbudzić jego podejrzliwość. A to groźny człowiek. A teraz precz z pościeli! Mam jeszcze chwilę czasu. Zamierzam odpocząć!..

- A... - Alchemik chciał rzucić jakiś żart na odchodnym, ale pod spojrzeniem Moncka zamilkł, skulił się i po cichutku zamknął drzwi.

I znowu dzień wypełniły mnogie obowiązki. Ale w momencie, gdy na wozach wymoszczonych słomą i szmatami przybyły ogromne czarne turmaliny i kryształy górskie, Monck poczuł, że na wieczór będzie gotów odczytać następny rozdział księgi. Wraz z Dalambertem pojechał do doliny grobów. Wskazał miejsca, gdzie miały stanąć kryształy. Mattheus przystąpił do rozmieszczania bek ze swymi wynalazkami.

- Rzecz to wielce niebezpieczna - mruknął do przechodzącego mimo grabarza.

Elizabediath Monck skinął głową.

- Wiem. Ale skoro księga tak nakazuje... - powiedział i spojrzał znacząco na alchemika.

Przed wieczorem wrócili do Dworu. Mistrz ceremonii upewnił majordoma, że pogrzeb zacznie się świtem dnia następnego... Wczesną nocą Monck utrudzony i niespokojny legł na łożu. Nasłuchiwał. Wreszcie dotarły doń podniesione głosy. Niewieści i zachrypty męski. Potem rozległ się odgłos potężnego policzka i ściany domostwa zadrżały od grzmotu, jaki wydały zatrzęsnięte gwałtownie drzwi.

Elizabediath Monck uśmiechnął się. Odwrócił twarzą ku ścianie i zasnął pełen zupełnie nieuzasadnionego optymizmu.

* * *

Słońce ciągle jeszcze kryło się za górskimi szczytami, gdy Dwór poczęli opuszczać żałobnicy. Mattheus Dalambert, pocierając odruchowo spuchniętą twarz, patrzył na formujący się kondukt. Generalnie wszyscy założyli odpowiadające okazji stroje. Jednak spora część szlachcianek i mieszczek postanowiła zabłysnąć najnowszymi kreacjami i kilogramami biżuterii. O jakże się rozczarowały! Monck w swej przebiegłości przewidział ich głupotę. Przy wyjściu z Dworu służba rozdawała jednakowe, całkowicie czarne płaszcze z głębokimi kapturami. Nim minęła miara wody, kilkusetosobowy kondukt stał uformowany, cichy i skupiony.

Monck dał znak. Uderzono w dzwon. Głęboki, wibrujący dźwięk przetoczył się nad doliną i wrócił odbity echem. Przez odrzwia Dworu rozwarły na pełną szerokość sześciu rycerzy w ciemno szmelcowanych zbrojach wyniosło lektykę z umieszczonym w niej ciałem. Przeszli odmierzoną, równym krokiem wzdłuż konduktu. Potem zaś złożyli lektykę na wozie zaprzężonym w szóstkę koni. Rozbrzmiał pradawny hymn

wygrany czysto na rogach. Wreszcie uderzono w bębny. Kondukt ruszył z wolna. Żałobnicy szli noga za nogą. Bębny nadawały rytm. *Dum, dum, dudum. Dum, dum, dudum.*

Mattheus dreptał w ogonie pochodu, plując sobie w brodę, że nie wstał przed świtem i nie dołączył do rzemieślników czuwających w połowie drogi. Zapowiadał się naprawdę długi, długi marsz. Na tę myśl sięgnął do kieszeni i wydobyl suszoną, dobrze naczosnkowarią kielbasę. Ugryzł solidny kawałek, sięgnął za pazuchę, łyknął z flaszki ulubionego almadena i pocieszony znacznie począł rozmyślać o rytuale. Niepokoił go Monck. Kiedy przestanie być sobą? I co to będzie znaczyło dla niego - Dalamberta, jedyne rozsądnego człowieka w tym nawiedzonym gronie? - O, trzeba kopidola bacznie obserwować - westchnął i ponownie powtórzył manewr z flaszą.

Kondukt szedł. Ludzie milczeli zadumani. Może dopiero teraz dotarło do nich, w jak niezwyklej uroczystości biorą udział.

Około południa kondukt dotarł do bramy tunelu prowadzącego do rolniczej niegdyś doliny. Przez tłum ludzi przeleciało lekkie westchnienie. Otwór bramy był teraz niewielkim elementem całego wejścia. Rozbudowana konstrukcja - śnieżnobiała i drgająca niczym żywa, sięgała kilku pięter. Gdy podeszli bliżej, spostrzegli, że drewnianą budowlę pokrywają setki, a może i tysiące, białych ptaków. Kiedy wóz ze zwłokami i towarzyszący mu rycerze znikli w cieniu bramy, z tunelu dobiegł przesywający, pełen bólu krzyk. Ptaki poderwały się chmurą ku niebu, wzniosły wysoko, zawirowały. I odleciały, zda się ku słońcu.

Dum, dum, dudum. Dum, dum, dudum. Bębny podjęły swoją mowę. Ludzie opuszczali głowy i pospieszani rytmem wchodzili w tunel. A z bramy padały na nich, rzadkie, duże krople. Któraś z niewiast posmakowała na końcu palca płynu i zrobiła zdumioną minę. Inni poszli za jej przykładem i także szeptem dzielili się swym zaskoczeniem. Bo krople były słone.

Jak łyzy.

Mattheus Dalambert, który szedł niemal jako ostatni, zmęczony tak marszem, jak i zawartością flaszki, mocno opierał się o ściany tunelu. I dopiero pod koniec tej mrocznej drogi dotarło do alchemika, jak gładkie, niemal śliskie, są skały. A na dodatek odbijały światło niczym mroczne lustro. Kto mógł zbudować takie tunele? - Zamroczony umysł pracował niechętnie i powoli. - Cóż, trzeba go wzmocnić. Dalambert prawie osuszył szklaną butlę. I nic to nie pomogło.

Przed wieczorem kondukt dotarł do obozu rzemieślników przebudowanego na tymczasowy obóz dla żałobników. Wiedziony widać ponurym nieco humorem, Monck nakazał wzniesć lekkie drewniane domki z kształtu przypominające grobowce. Wóz wiozący ostatniego Draga stanął na małym placyku pośrodku chwilowej osady. Gwar rozmów odpoczywających i pożywających się ludzi trwał do nocy. A gdy ciemność całkowicie skryła dolinę, w obozie zapłonęły pochodnie. Setki pochodni. Każdy z żałobników dzierżył płomień. Stanęli w kręgu. Chór śpiewaków zaniósł pod niebiosa przedziwną to wznoszącą się, to opadającą pieśń. Nikt nie znał języka pieśni. Dalambert podejrzewał, że chór wykuł na pamięć nieznanie sobie słowa. Przekazane zapewne Monckowi przez księżę. Gdy pieśń ucichła, w krąg ludzi wszedł mistrz ceremonii. Okrążył po sześciokroć wóz ze zwłokami. Wreszcie stanął u wezglowia mar i klasnął w dłonie. W krąg światła weszli dwaj rycerze z drugimi mieczami w dłoniach. Na dany przez Moncka znak, zwarli się w walce. Zbrojni następowali na siebie bezwzględnie, szczęk broni głużył wszelkie inne odgłosy. Wreszcie jeden z walczących popełnił błąd. Potknął się. Miecz świsnął nad jego głową. W ostatniej chwili został przekreślony i uderzył w hełm. Pokonany wojownik padł na wznak. Zwycięzca odwrócił się doń tyłem i pokłonił mistrzowi. Wtedy też leżący błyskawicznie wstał i dobywszy sztyletu o ognistej klindze, wbił go w plecy zwycięzcy. Ostrze przeszło przez blachy jak przez papier. Trysnęła ciemna krew. Rycerz runął z brzękiem blach. Martwy.

Ludzie oniemieli. Śmierć na, rzadkich już obecnie, turniejach zdarzała się, prawda. Ale w żałobnym teatrum? Zabójca wszedł w tłum, który spiesznie się rozstał. A Elizabediath Monck kopnął w skrwawiony pancerz. Hełm potoczył się w jedną stronę, a reszta blach w inną, ukazując, że wewnątrz zbroi nie ma nikogo.

- Ooo! - jęknęli zdumieni żałobnicy.

Alchemik chrząknął zadowolony, zdolności do budowania iluzji miał zawsze. I tym razem go nie zawiodły. Uśmiech jednak zniknął z twarzy Mattheusa, gdy posłyszał szept stojącego obok Oshara Hargo:

- Bzdury, bzdury...

Dalambert zająrzył w okrutną twarz, na której nie pozostało nic z prezentowanej zwykle jowialności. I zadrżał. A majordom nie rzekł nic więcej.

Mistrz ceremonii klasnął w dłoń, wtedy pochodnie trzymane przez żałobników zgasły. Wszystkie naraz. Obóz oświetlały tylko kosze z rozżarzonymi węglami umieszczone na wysokich słupach.

Nadszedł czas spoczynku. Dalambert nie próbował rozmawiać z Monckiem. Na nic by się to zdało. Grabarz niemal całkiem uległ rytuałowi i nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Szczęściem Katrinę tolerował. Mattheus skinął porozumiewawczo czarownicy, gdy wchodziła do chatki Moncka. Odpowiedziała gestem: *jestem i czuwam*. Alchemik odparł krótkim mignięciem: powodzenia i poszedł przytulić szklaną pocieszycielkę.

Późnym rankiem kondukt dotarł do bramy tunelu wiodącego do Doliny Nekropolii. Droga była uciążliwa, bo w nocy jakimś sposobem pokrył ją grubą warstwą popiołu. Jednak to brama stanowiła największe zaskoczenie. Znikła. Miast niej widniała głowa ogromnego smoka o węzowych kształtach. Potwór śledził czerwonymi oczyma przerażonych przybyszów. Wreszcie rozwarł gigantyczny pysk i zionął złoto pomarańczowym płomieniem.

Rycerze wraz z wozem i mistrzem ceremonii bez wahania wstąpili w płomień i rozwiali się w powietrzu...

Tłum żałobników stanął wystraszony. Szlachcice i mieszczenie, mężowie i niewiasty trwali wpatrzeni w przedwiecznego stwora. Nie mieli odwagi poddać się oczyszczającemu działaniu płomienia.

Dalambert przeszedł na początek konduktu i niby to wahając się, ostrożnie podszedł do bramy.

- Wcale nie parzy - wyciągnął dłoń ku pyskowi stwora i wkroczył w ogień. Zawstydzeni żałobnicy poczęli przepychać się i tłoczyć. Kondukt zniknął w tunelu.

Alchemik, szedł wijącym się węzowo tunelem, nie zwracał uwagi na mijających go ludzi. Jakaś uparta myśl drażyła otumaniony alkoholem umysł. Napełniała niepokojem i nie chciała dać się sprecyzować.

W Dolinie Nekropolii było ciemnowo, ale i tak ludzie mrużyli oczy, gdy stanęli w bramie. Cmentarz Dragów nie potrzebował dekoracji. Ci, którzy widzieli go pierwszy raz, zamierali w miejscu zdumieni. Wykorzystywała to służba, podając wszystkim białe płaszcze. Gdy Dalambert dotarł do wyjścia i stanął obok porzuconego wozu - długi rząd białych postaci docierał już połowy drogi do mostu. Alchemik spieszenie wdział biały płaszcz na czarny, mył ręce i klnąc pod nosem, wydobyl z kieszeni chustę, powiał nią nad głowę. Gdzieś w oddali rozbrzmiał przytłumiony huk. Nikt nie zwrócił nań uwagi. Gdy jednak kondukt dotarł na most, buchnęły pomieszane okrzyki. Ludzie zamarli. Kamienistym korytem płynęła spieniona krew. Tak jasna jakby z rozdartej tętnicy tryskała. Rycerze z lektyką maszerowali wprost do wejścia grobowca. Pozostałych żałobników służba Dragów kierowała na tarasy. Stawali na nich niczym widzowie w amfiteatrze i czekali na ciąg dalszy niesamowitego misterium. Dalambert przyspieszył kroku. Monck rankiem zażądał, by alchemik brał udział przy ostatnich fragmentach rytuału przy katafalku. Mattheus nie zamierzał z nim wchodzić w spór. Wygląd grabarza budził grozę. Całkowicie opanowany przez rytuał, miał puste oczy, mówił drewnianym głosem, poruszał się dziwnie, ale jego rozkazy nawet Hargo spełniał w panicznym pośpiechu.

Ceremonia zbliżała się do kulminacji. Dalambert niemal biegł zdyszany po schodach; Drago spoczywał już w grobowej skrzyni, kamienna płyta była jeszcze odsunięta. Rycerze uderzyli kulekami w swe opancerzone piersi, skłonili się i pojedynczo opuścili grobowiec. Półkolem przy katafalku stali: Monck, Hargo, Katrina. Dalambert przystanął obok majordoma. Wszyscy trwali w milczeniu. Monck i Hargo wyraźnie na coś czekali. Mattheus błędnął wzrokiem po ścianach, na których gorzały znaki Dragów. Smoki w węzowych splotach wypełzające z ognistych otchłani.

I wtedy wszystkie klocki myślowej układanki w mózgu alchemika wskoczyły na właściwe miejsca. Trzeba przyznać, że przażenie odebrało głos Mattheusowi tylko na chwilę:

- Monck! - zaryczał - to nie jest rytuał pogrzebowy! To przeklęta ne...

Oshar Hargo schwycił Dalamberta za gardło. Żelazny uścisk zdławił głos i oddech. Alchemik siniał, słabł, umierał.

A nad doliną słońce stanęło w zapisanym w księdze Ang-Hare punkcie. Jego promienie trafiły w wyszlifowane, lustrzane powierzchnie czarnych turmalinów. Potem odbite przemknęły przez lustra z kryształu górskiego, aż wreszcie uderzyły we wklęsłe rubinowe zwierciadło. Potężny słoneczny sztych przeciął Dolinę Nekropolii, wpadł przez otwór w kopule grobowca Gizmy i przebił pierś Katriny thir Harrane. Krew buchnęła z oczu, uszu i ust niewiasty...

- Drago!! - krzyknął Monck, padając na kolana. Zmarły przed wiekami otworzył pozbawione tęczy oczu, na jedno uderzenie serca na jego okropną poznaną plamami rozkładu twarz wróciło życie. Spojrzał na Katrinę. Usta wymówiły jakieś słowo. Bezwzględny rozkaz.

- Oshar Hargo przerażony i zdumiony zarazem, puścił Dalamberta, bezwolnie zrobił trzy szybkie kroki i zasłonił Katrinę. Płomienisty sztych rozciął go od kroku aż po mostek.

Gdy Mattheus, charcząc, zdołał powstać, stwierdził, że tylko jemu udało się ta sztuka. Drago stracił oznaki życia, rozkład dopadł go ze wzmoczoną siłą. Monck siedział pod ścianą, trzymając głowę leżącą Katriny na kolanach. Zewłok Harga spoczywał u stóp katafalku.

- Och, kurwa, Monck, pieprzona nekromancja! Wiem co zrobili Dragowie. Zaprzędali się stworom, które niegdyś żyły w jaskiniach Ocalonej Krainy. Dalambert sięgnął pod płaszcze i wyciągnął flaszkę. Zębami wyciągnął korek i wlał w gardło potężną porcję ulubionego lekarstwa.

- Katrina żyje? - zagadnął po chwili niemal normalnym głosem.

- Ciemnowłosa głowa drgnęła lekko. Miodowobrazowe oczy spojrzęły przytomnie na alchemika.

- Sądziłeś mistrzu, Dalambert, że promień słońca może zabić kapłankę słonecznej Etiny? - głos czarownicy brzmiał cicho, ale wyraźnie.

- Żyjesz! A Hargo?

- Monck, pomógł wstać Katrinie, obejmował ją w talii.

- Dalambert, nie dotarł do ciebie przekaz Gizmy?

- Nie. Brak powietrza stanowczo szkodzi...

- Drago nie został, ot, tak sobie zamordowany. Od urodzenia przeznaczono mu jedną rolę - rytualnej ofiary. Hargowie zgodnie z wolą zmarłych wcześniej Dragów traktowali go jak...

- W każdym razie - przerwała Katarina - jedynym człowiekiem, który okazał mu ludzkie uczucia był Eli... A ostatni Drago był człowiekiem honoru.

- No dobrze, ale co teraz? Rytuał nie wypalił. Hargo martwy...

- Po pierwsze, pomóż mi. Ceremonię należy dokończyć - rzekł Monck. Puścił Katrinę, która ustała na nogach i chwycił ciężką kamienną płytę. Dalambert pchał razem z nim. Z trudem zamknęli Draga w samotnym grobie. Alchemik mruzczał coś niechętnie i ciężko dyszał wsparty o grobowiec. Monck równie zmęczony położył dłonie na płycie i powiedział:

- Spoczywaj w spokoju, Drago.

I wtedy podłoga pod ich nogami drgnęła, a z zewnątrz buchnęły krzyki tak okropne, że włosy stawały dęba. Dalambert skoczył ku schodom, Monck porwał na ręce ślaniającą się Katrinę i podążył za nim. Wypadli na zewnątrz i oniemieli.

Nad grobowcami w całej dolinie stały obłoki kurzu. Kamienne płyty zagrządzające wejścia do grobów leżały obalone. Z mrocznych otworów wysuwały się chwiejnie korowody ludzi w strzępach ubrań i zbroi. Uczestnicy rzekomej ceremonii pogrzebowej w większości zalegali ziemię, a płaszcze nie były już jednolicie białe. Ogromne, czerwone plamy widzieli z daleka.

- Bogowie! - zajęczał Dalambert - teraz już rozumiem. Sześćset lat władali tą ziemią z nadania węzowych Heroldów Śmierci, sześćset lat służyli im pod postacią duchów. Teraz zaś wracają do świata żywych...

- I nie wiadomo czy są ludźmi - dodał Monck. - Mattheus! Zrób co masz zrobić!

Dalambert wyprostował zgarbione plecy, na twarzy zbryzganej krwią Harga malowała się determinacja. Nakreślił w powietrzu skomplikowany znak i głośno powiedział:

- Ogni!

Zbocze górskie ponad tunelem, którym uchodziła z doliny rzeka, eksplodowało. Uniósł się nad nim czarny dym. A potem masy skalne runęły, zamykając drogę rzecze. Jezioro rosło w oczach.

- Szybciej! Do tunelu, zdążymy uciec! - wrzasnął Dalambert.

Katrina oderwała wzrok od pandemonium rozgrywającego się u wejść do grobowców. Wszyscy żałobnicy zapłacili już procenty od pożyczek i przysług jakich udzielili im Dragowie.

- Jeżeli my zdążymy to oni także! - powiedziała, wskazując nadchodzących tłumnie zmartwychwstałych. - Czas na czyn ostatnie!

Padła na kolana, uniosła ramiona i twarz ku widocznemu nad krawędzią zbocza słońcu. Mówiła głośno, dobitnie. Świątynny język kapłanów Etiny brzmiał w tej dolinie pierwszy raz od początku świata.

Dwaj Dragowie, niemal nadzy, wyłonili się nagle zza grobowca. Biegli, nie wydając żadnego dźwięku wprost ku Katrinie. Elizabediath Monck zastąpił im drogę. W prostym wypadzie przebił jednego rapierem. Drugi zdążył go minąć, lecz Monck przerzucił rapier do lewej ręki, błyskawicznie wy dobył zza cholewy ciężki puginał. Cisnął nim i sztylet z niemiłym trzaskiem zagłębił się w potylicy Draga.

- Stawaj, hieno - rzucił przyjaźnie do Mattheusa. - Dajmy czas Katrinie.

- Ale po co?! Uciekajmy, póki jeszcze możemy. - Dalambert podszedł do zabitego, oparł stopę na jego plecach i z trudem wyszarpnął ostrze z czaszki.

- Spoczywajcie w spokoju - rzucił grabarz i wykonał nad martwymi rytualny gest.

Dalambert skrzywił się. Wisielczy humor Moncka nie podnosił na duchu. Dolina roiała się od Dragów, ilu mogli zatrzymać? Szcześciem Etina nie kazała długo czekać swej kapłance. Niebo nad nekropolią rozbrzmiało potężnie. Pierwsze pękły czarne turmaliny i siejąc odłamkami, szczyły. Potem kryształowe górskie rozbrzmiały niczym maleńkie słońca niesamowicie lśniąca na tle czarnych skał. Nim dopadła je zagłada wystąpiło promienie o straszliwej mocy. Rażone nimi rozpadło się z hukiem rubinowe serce Dragów. Rozbrzmiało wściekłe zawrodozenie, lecz umilkło, bo w dolinę u źródeł uderzył kolosalny słupek słonecznego żaru. Obłoki pary wodnej, chmury rozpalonych strzępów skały wirowały coraz wyżej. A płomieniste ostrze orało koryto rzeki, skały drżały febrycznie. Aż wreszcie stało się. Zbocza górskie flankujące dolinę poczęły zamykać się niczym potworne szczęki. Towarzyszące temu lawiny zmiatały wszystko i wszystkich.

- No, teraz to już po nas - skonstatował Dalambert. I sięgnął pod płaszcz.

Katrina patrzyła na zagładę Doliny Nekropolii przerażona, ale i zachwycona. Bogini objawiła swą moc! Lecz wreszcie kapłanka oprzytomniała.

- Uciekajmy! - krzyknęła. - Nie, nie do tunelu. Do grobowca!

- Wołę zdechnąć pod otwartym niebem - odrzekł flegmatycznie Mattheus.

- Do grobowca, ale już! Jak sądzisz, czego tu szukałam? Drogi ucieczki, nie pilnowanej...

Wbiegli do środka.

- Patrzcie! Pod ścianą! - komenderowała Katrina. Znaleźli metalowe, wciąż mocne, choć nieco skorodowane, uchwyty.

- Razem. Kamienna płyta odjechała ze zgrzytem na bok. Pod nią ział czarny otwór. W mrok prowadziły wilgotne stopnie. Monck wyrwał z kuny na ścianie pochodnię. I skoczył na schody. Za nim podążyła Katrina. Dalambert został sam. Rozejrzał się jak złapany w sidła królik i zstąpił w ciemność, klęcząc i narzekając. Schodzili coraz niżej i niżej. Zsuwali się, spadli. Teraz, gdy zyskali szansę ocalenia, strach dodawał im skrzydeł. Dotarli wreszcie do końca schodów i wpadli po łydki w lodowatą wodę. Stanęli niepewni, lecz pył, który sypanął im na głowy, rozwiął wątpliwości. Pobiegli co sił w nogach. Wkrótce nie tylko pył, ale i drobne odłamki, poczęły odpadać od sufitu tunelu.

- Szybciej! Tam chyba jest sucho - zawołał Monck. Złapał kapłankę za kraj płaszczu i pociągnął za sobą. Rzeczywiście, dalej spąg tunelu podnosił się łagodnie, by wreszcie doprowadzić do następnych schodów. Tym razem wiodących ku powierzchni. Gdy dotarli do ich końca, zmęczenie spadło na nich tak wielkie, że usiedli na ostatnich stopniach. W krąg poszła flaszka Dalamberta.

- Opuściliśmy chyba Dolinę Nekropolii - stwierdził Monck i pociągnął tęgi łyk.

- Pewnie tak. Ach, droga Katrino, ponoć nie mogłaś czarować. Co więc za drobnostka rozpieprzyła w drobny mak całą dolinę i szlachetnych Dragów? - Mattheus oderwany od szklanej pocieszycielki zdradzał objawy złego humoru.

- Cny bracie w glidii - czarownica odebrała flaszkę od Moncka i także solidnie nadszarpnęła jej zawartość. - Nieuctwo powinno być karalne. Ja tylko poprosiłam pokornie swą wielką boginię o ratunek dla Ocalonej Krainy. A czarować dalej nie mogę. Wiem o tym, bo przed chwilą chciałam zamienić cię w takie malutkie stworzonko z długim ogonkiem. I nic. Do licha.

Dalambert pomacał kość ogonową, więcej dla śmiechu niż z rzeczywistej konieczności upewnienia się o braku chwosta.

- I bogini często wysłuchuje próśb kapłanek? - zapytał z respektem, obłapiając czule butlę i nadsłuchując bulgotu zawartego w niej płynu.

- Nie wiem. Sądzę, że jako pierwsza od kilkuset lat wniosłam tak dobrze umotywowaną suplikę...

- A przypadkiem nie od sześciuset lat?

- Cóż. Może. Może Eliana także stanęła na drodze Heroldom Śmierci. Kto wie. A, Mattheus, jak to możliwe, że wciąż masz wino w butli?

Dalambert wydał wargi w chępliwym uśmiechu.

- No nie, naprawdę?

Fałszywa skromność wprost biła z twarzy alchemika, gdy kiwnął głową.

- Nie rozumiem - zdeorientowany Monck patrzył na Katrinę.

- On - pokazała palcem - obłożył zaklęciem flaszkę. Dzięki temu wciąż raczymy się winem Dragów przynoszonym z piwnic wprost do cudownej butelki. Tak potężny czar konstruowany był zapewne całymi miesiącami.

- Dwa lata - mruknął Mattheus. - A wszystko po to, by mieć czym zalewać robaka. To...

- Szczyt idiotyzmu? - dopowiedział Monck.

- ...trochę ekscentryczne.

Dalambert milczał, ale z miny wnosić można było, że w tym temacie ma inne zdanie. Niechętnie wstali i powlekli się ciemnym korytarzem. Musieli iść szybko. Pochodnia spłonęła już w połowie.

- A właściwie dlaczego mimo twego ocalenia Dragowie powstałi?

- Cóż. Mogę się tylko domyślać. Do spełnienia rytuału potrzeba kapłana żyjącego w czystości. Oshar Hargo zapewne majordomem był tylko tytułarnie. Pełnił natomiast funkcję kapłana Heroldów Śmierci. I być może nie zaznał nigdy niewiasty...

- A może starczyło twej krwi, która wypłynęła nim Drago cię ocalił - włączył się do rozmowy Monck.

- To ty mnie uratowałeś Eli...

- Patrzcie! - przerwał wymianę czułych uśmiechów Dalambert. Przed nim płonęła plama jasności.

Gdy dobiegli do jej źródła, znaleźli tam wąską szczelinę. Brzegi porosły grubo mchem, widać pęknięcie powstało dawno.

- Dolina rolnicza! - orzekł stanowczo Monck po dłuższym oglądzie. - Moglibyśmy się przebić.

- Nie. Lepiej nie - stwierdziła Katrina. - Sądzę, że tunel prowadzi poza dziedzinę Dragów. A choć zginęli w nekropolii, to służba może być groźna.

Po kilku krokach korytarz skręcał ostro w prawo. Oddalał się od znanych im dolin. Szli powoli, zmęczeni, aż wreszcie, gdy pochodnia zaczęła już parzyć, zobaczyli przed sobą duży, jasny otwór. I wtedy też Katrina nagle upadła na plecy jakby uderzona mocno w twarz.

- Co ci jest? - Zaniepokojony Monck przypadł do niewiasty.

- To granica. Dalej nie mogę pójść.

- Co więc zrobimy? Wracamy do doliny rolnej?

- Nie. Rozwiązanie jest proste. Ale dość bolesne. Dla mnie.

- Jak to?

- Przytomna nie przebędę granicy. Muszę więc stracić świadomość. A wtedy ty, Eli, mnie przeniesiesz.

- Wino, mamy mnóstwo wina! - Dalambert klasnął w dłonie.

- Alkohol nic tu nie pomoże. Utrata świadomości musi być nagła...

- A ty Mattheus nie mógłbyś trochę, no... poczarować? Jakoś uśpić Katrinę?

- Katrina thir Harrane i Mattheus Dalambert popatrzyli po sobie i zjednoczył ich uśmiech.

- Może i Katrina nie jest w stanie rzucać czarów, ale na tak prostackie zaklęcia ma na pewno immunitet - rzekł poważnie alchemik.

- Czyli, musiałbym cię uderzyć...

Kapłanka Etiny pochyliła twierdząco głowę. I już jej nie podniosła. Monck błyskawicznie grzmotnął ją w ciemną gałką rękojeści rapiera. Niewiasta drgnęła i opadła w ramiona grabarza.

- O w mordę - zdumiał się Mattheus. Monck nie zwrócił uwagi na ton uznania i poniósł nieprzytomną przed siebie. Po stu krokach wykrzyknął tryumfalnie:

- Jesteśmy wolni!

Alchemik dołączył do niego i patrzył zdumiony na dalsze poczynania Moncka. Ten nagle przystanął, nadśluchował. A potem ostrożnie położył niewiastę na kamieniach.

- Co...

- Cicho!

- Mattheus Dalambert wsłuchał się w ciszę jaskini. I poczuł jak włosy stają mu dęba. Gdzieś z mroku dolatywał jakby furkot skrzydeł i pożądliwe mlaskanie. Monck dobył rapiera i błądy na twarzy rzekł:

- Zabierz Katrinę. Natychmiast. Ja spróbuję to zatrzymać.

- A z kim mamy parszywą okoliczność? - Dalamberta opuścił strach. Miał dość wszystkiego. Dragów, Hargów, ożywieńców i całego tałatajstwa. Miał ochotę skopać czyjąś dupę. Almaden zawsze w końcu dawał taki efekt...

- Astarh sa Grath.

- Ten wampir? Ale przecież... no tak musiał dogadać się z Hargiem. Oszukali cię. Miałeś posłużyć tylko do odprawienia ceremonii. A potem zostać przekąską wampira.

Alchemik sięgnął za pazuchę. Monck złapał go za rękę.

- Nie pora na wino... zabieraj Katrinę. Wampir zaraz ruszy... I tak szczęście, że nie spadł na nas niespodzianie. Widać słoneczna Etina nieźle go popieściła w dolinie...

Alchemik strącił dłoń Moncka. Wydobył spod płaszcza nabijaną srebrem króciwę.

- Chyba nie zamokła - mruknął.

Grabarz patrzył z otwartymi ustami.

- Zabieraj Katrinę Elizabediath - rzucił. - Ja jej nie uradzę. To kawał baby. I mam większe szansę z tym parszywcem. A właśnie, zachowałeś jego pierścienie?

- Tak.

- Dawaj. I spieprzaj. Wypijcie za mnie i zróbcie dużo tłustych dzieci.

- Mattheus...

- Precz, kopidole. Ta franca nadchodzi. - Dalambert nie zwracał już uwagi na Moncka. Tupot stóp grabarza ucichł, a wampir dopiero poruszył się w mroku. Alchemik starannie wymierzył w nadciągający z rosnącą szybkością cień i recytując jedyne w tej chwili zaklęcie pociągnął za spust. Strumień ognia wystrzelił w głąb ciemności. Huk zagłuszył przeraźliwe wycie blisko tysiącletniego potwora. Dalambert sięgnął po drugą króciwę...

Katrina ocknęła się z okropnym bólem głowy. Odruchowo wyszeptała zaklęcie i ból minął. Usiadła gwałtownie.

- Eli! - wykrzyknęła.

- Jestem... - Silne ramię otoczyło jej plecy. - Żyjemy.

- A Dalambert?

Elizabediath opowiedział o spotkaniu z wampirem. Radość Katriny prysła.

- Poświęcił się dla nas... nie doceniliśmy go.

- O, tak. I to bardzo - rzekł wesoło Monck.

- Jak to?

- Gdyby przegrał, Astarh ścigał by mnie dalej. W końcu już prawie wieczór. Musiał więc zostać co najmniej przepędzony. Stary pijus miał zapewne srebrne kule w króciwach. A w pierścieniu zawarto tajne imię bestii... Słowem Dalambert pokonał potwora.

Katrina pokiwała głową. Spokój nie wrócił jednak na jej twarz. - Ale nie wyszedł... może leży tam ranny.

- O, do licha, o tym nie pomyślałem. Czy możesz to jakoś sprawdzić?

Katrina wytrzymała zmysły. Użyła całej dostępnej mocy.

- Nie ma go w tunelu... - powiedziała zdziwiona.

- Moje domysły były słuszne. - Monck uśmiechnął się. - Stary drań wrócił do Dworu Dragów.

- Ale po co?!

- W bibliotece ta hiena cmentarna znalazła księgi tak rzadkie, że uznawane za nieistniejące. Za kilka tygodni albo miesięcy Dalambert wypłynie w Litternie lub Gadrin jako człowiek bardzo bogaty. To pewne. A ja nie omieszkam przypomnieć mu, komu zawdzięcza odmianę losu...

Spłynęła na nich wieczorna cisza. Katrina patrzyła na radosną twarz Elięgo oświetloną czerwonymi promieniami słońca. Pochylił się ku niej, czekała z drżeniem na słowa, które musiał wypowiedzieć. Na najskrytsze wyznanie...

- Katrino... Co za cudowne miejsce na niewielki cmentarzyk - powiedział Elizabediath Monck.

Tomasz Bochiński